

„PAN TADEUSZ” W LONDYNIE

Bogiem a prawdą, jechałem na ten spektakl ze ściśniętym sercem. Grają „Pana Tadeusza”! Ujrzę żalosne „comics”, powycinane z poematu, będące świadkiem sfastrygowanej grubą nicią parodii, szmiry wołającej o pomstę do nieba, zobaczę profanację. Co gorsza, mam okraścić „stosownym” słowem wstępnym ten kryminał, czyli — pośrednio — będę współwinny. Przecież „Pan Tadeusz” nie ma akcji dramatycznej, ma tylko fabułę walterscottowską, dość popłatąną, zawilgą, szwankującą. Prawdziwa „dramatis” a raczej „poematis persona” w „Panu Tadeuszu”, to przynajmniej, przedstawiona za pomocą uproszczonej do doskonałości „cineramy”.

Universal Photo-Service



Józef Opięński
(Poeta)

Film „technicolor”, nie posługując się jednak farbami anilinowymi czy wtrioletynowymi. Film dźwiękowy, w którym mieści się wszystko, od piana począwszy, poprzez stawy grające, jak harfy eolskie, aż po „półton fałszywy komara”. Film, w którym widzimy t.zw. „animation”. Określenie wiewiórki jako „gajów taneczniczy” mówi mi więcej niż tuzin oklepnych grotesek Disneya. Widzę w ruchu jaskółkę, lotem nieścisłym zuchwała, gdy spada jak kula. Widzę wrony, które przechadzają się poważnymi krokami, wytknąwszy język z suchej szerokiej gardzieli. Widzę wszystko i słyszę wszystko, wszystkiego dotykam, ba — wcham, smakuję. Czytam a moje zmysły są w pełnej akcji. Po cóż mi teatr?

Na uchodźstwie czytam „Pana Tadeusza” inaczej niż dawniej, w Polsce, a różnica wyraża się w tym że moje zainteresowanie odwraca się od ludzi. Bo też z tych ludzi wszystkimi porami bucha „wieprzowatość życia”. Są płaszy, przyziemni, ograniczeni, nie budzą sympatii, nie ma w nich ani trudu ani męki ani grozy ani namietności. Jedzą, piją, łulki palą, kłóca się, orzą, sieją, polują, kochają się jak mazgaje, plotą duby smalne, czczą każdego durnia, który ma siwe włosy, i słuchają jego koszałek-opalek, conto wielu z nich jest mocno zababrane. Podkomorzy, to szanowny cymbał, Tadeusz — byczek, Zosia — gęś, Hrabia — pajac, Maciek — głupi, nieznoszny megalomani i t.d. i t.d. Na tym tle najlepiej wychodzi Jankiel, bardzo przyzwolity, mądry, czatownik, który jednak sprowadził... batalion Moskali. Właściwie tylko Rykow, to jakby „słoneczko”.

Czytam inaczej, bo jestem zgryzotny, kwaśny, zły, oni zaś wszyscy, bohaterzy i komparsy i statysci są tak szczeniści, tak zadowoleni z życia i z siebie samych, tak skapani w sosie błogiego optymizmu. „Oratio recta”, jeśli nie wychodzi z ust samego poety, wydaje mi się być, z małymi wyjątkami, banałem. Po co to grać? Przyrody nie zobacze i nie usłysze, dane mi zaś będzie widzieć tylko ludzi. Co aktorzy zrobią z tych kawalków? Jak sobie poradzi reżyser na obcej, nieprzytulnej albo nawet wrogiej scenie? Jakież będą kostiumy? Chyba „ubrałem się w com ta miał”. A dekoracje? Gdzie domowe drzewa, gdzie brzoza wieśniaczka, gdzie łąki zielone, gdzie obłoki ranne, gdzie słońca letniego pożoga, gdzie złoto pszenicy, gdzie srebro żyta, albo choćby ciche na miedzy grusze? Porwali się z motyką na słońce poezji! Spaskudzą „Pana Tadeusza” jak amen w pacierzu!

Stało się inaczej, zupełnie inaczej. Spadło na mnie, jak i na całą salę, wielkie wzruszenie. Chciałem się temu wzruszeniu oprzeć, walczyłem z nim na ostre. Bez skutku. Po kilku minutach rzekłem do siebie samego: „To jest teatr, dobry teatr”. Zdziwiła mnie obfitość dialogów, której człowiek podczas lektury nie dostrzega. Zdziwiła mnie celność charakterystyki. Zdziwił komizm sytuacji, charakterów i komizm słowny najwzajemnej próby. Gdy Protazy, uciekając, wrzeszczy: „Protestuję!”, sala ryknęła śmiechem i dała brawo. Oklaski zrywały się raz po raz. Było to dla mnie wielką niespodzianką. Krakakłem na zapas, jadąc do teatru, a tu raptem...

Teatr wyobraźni? Z wszelką pewnością. Nawet powiedzieć trzeba że był to teatr wyobraźni bujnej czy wręcz opętanej. Zostało tylko słowo... Nie, nie tylko słowo. W tej opoeli widać dramat i komedię, których nie przeciwałem. Natomiast, wielką, prawdziwą osobą poematu, wyparowała, ulotniła się bez śladu. Nagle dojrzałem ludzi. Owsem, przyziemni, tępi, płaszy, ale każdy z nich żywy, z krwi i kości, jak ułaj na scenę. Dopiero w teatrze spostrzegłem że są zabawni, że wzruszają nas i śmieszają — przede wszystkim — interesują. Są w akcji, w ruchu, w kon-

flikcie, w rytmie. Słaby był, czytając? Naturę potrafię sobie dośpiewać, a teraz patrzę na ludzi.

Kroczymy był p. Kielanowski. Pierwotny tekst przeróbki, starannie i pomysłowo przygotowany przez p. Kowalewską, dostosował do własnej

Universal Photo-Service



Janina Katelbachówna
(Zosia)

wizji, Mickiewiczowi (dyskretny p. Opięński) dał rolę zrącanowanego konferencjera, który dopiero w finale miesza się z tłumem i występuje na front sceny. Poeta nie drażni wszechobecnością fizyczną, stojąc zaś na boku, mówi tyle tylko ile jest konieczne, daje naturę w porcjach homeopatycznych, szkicuje tło dziejowe i zamyka całość w bardzo proste a piękne ramy. Oczywiście, Mickiewicz, który deklamuje koncert Jankiela, to kompromis, ale inaczej tego nie dało się zrobić. Trudno również użerać się z krojącym o pewne wątki fabuły, które wypruły.

Kielanowskiemu patrzy się od dawna nagroda, o której społeczeństwo emigracyjne dotychczas nie pomyślało. Nie chcę umniejszać pracy innych reżyserów, ale Kielanowski najsilniej i najpełniej wyraża teatr polski na wygnaniu. Posunął się dalej i powiem że gdyby nie Kielanowski, mielibyśmy tylko teatryki, nie mielibyśmy zaś teatru. Na przekór ubóstwu albo nawet nędzy środków, „Pan Tadeusz” był widowiskiem bogatym, zadziwiającą hojnym, szczodrym albo nawet rozrzutnym, nie jest to zaś ani pierwsza ani jedyna pozycja w ogromnym, wojennym dorobku Kielanowskiego. Publiczność przychodzi do gotowego i nie zdaje sobie sprawy z trudu, jaki wkłada ten dziwny maniak w każdy swój zamiar, jak bardzo mierzy siłę na zamiary, z ilu przeciwnościami walczy.

Obsadzenie jakiegokolwiek sztuki w normalnym teatrze, to piękno, choć przecie aktorzy zasadniczo, na podstawie kontraktu, obowiązani są grać rolę, które im da dyrektor, wyznawca oświeconego absolutyzmu. Niemniej przed każdą premierą, przy każdej obsadzie, przechodzi nad teatrem burza z plorunami i gładem. Cóż mówić o teatrze na emigracji, gdzie nie ma żadnego kontraktu, gdzie tylko jest dobra wola, gdzie aktorzy muszą zarabiać na życie poza sceną, gdyż scena — z niewielu wyjątkami — ich nie wyżywi, nie da nie tylko masła ale nawet chleba. Poza tym — niechże koleżanki i koledzy, których jestem honorowym prezesem, nie wezmą mi za złe tych słów — w emigracyjnym teatrze grają te same ambicje, jakie grają w teatrze normalnym, albo nawet grają jeszcze silniej. Obraza boska i ludzka, fochy, fomy, woda sodowa, grymasy, nerwy, mania wielkości, postępowy zanik pamięci, jeśli idzie o własną metrykę, koklusz, wypadanie zębów mlecznych mądrości i t.d. i t.d., występują na gruncie teatru niemal tak silnie, jak np. pośród polityków emigracyjnych. Lecz u aktorów grzechy równoważy wielka ofiarność, poświęcenie się, bezinteresowność, które zaskutkuje na szczyry szacunek.

Jak sobie radzi Kielanowski, nie umiem powiedzieć. Próby? Nigdy nie ma wszystkich grających, bo ich być nie może, bo ten pracuje w fabryce, tamten ma robotę nocną, inny mieszka daleko, ów zaś jest w objęździe albo mu się po prostu nie chce. Przychodzą na próby zmęczeni pracą zarobkową, przychodzą z gripą, przychodzą wiedząc z góry, że przedstawienie takiej wielkiej kobyły jak „Pan Tadeusz” w najlepszym wypadku nie da deficytu, że udział w tym co może zwać się najwyżej „do dwóch razy sztuka” jest świadomą ofiarą czasu i zdrowia. Wszystkim, którzy w tych warunkach chcą grać, którzy są lojalni wobec reżysera, którzy nie oddają ról, którzy grają rolę nie odpowiadającą ich ambicjom, należy pokłonić się nisko. Aktorzy z uroczej powieści Sewera „U progu sztuki”, z „Lili” Reymonta, z „Le Capitaine Fracasse” Gautiera, to burżuje, to milionerzy w porównaniu z aktorami polskimi na emigracji. Tępi, dyrektor trupy wędrowniej w VI w. przed Chrystusem, miał przynajmniej wóz zaprzężony w woły. Aktorzy nasi nie mają ani wołu ani osła. Polska emigracyjna Melpomena często obywatela bez pończach.

Próba generalna? Jest ona pierwszą i zarazem ostatnią próbą na scenie. Nie wszyscy aktorzy mogą przejść na tę próbę, i rolę ich markuje reżyser, będący jakby „Mädchen für alles”. Statysci przyjdą dopiero wieczorem, na sam spektakl. Orkiestra? Bóg raczy wiedzieć. Scena jest dosłownie goła, nie ma na niej nic,

prócz brudnego horyzontu i równie brudnych, brzydkich kulis. Wszystko trzeba z sobą przywieźć czy przynieść. W Polsce maszynista, elektrotechnik, rekwizytor, krawiec, to byli koledzy albo nawet przyjaciele aktorów i reżyserów. Robota paliła się im w rękach, interesowali się treścią sztuki, pragnęli w lot zgadnąć intencję reżysera, nie przyszloby im do głowy iść na herbatę, ledwie zaczęła się próba, albo porzucić robotę w godzinie obiadowej albo rozejść się przed końcem próby. Tu? Szkoda gadać! Raz tylko tknąłem się reżyserii, prowadząc „Sędziów”, i po tym doświadczeniu za skarby świata nie chciałbym próbować po raz drugi.

Universal Photo-Service



Maria Modzelewska
(Telimena)

W tych katastrofalnych warunkach uznać wypada za cud prawdziwy, jeśli spektakl trzyma się kupy, zamiast rozlecieć się w kawałki. Aktorzy umieją rolę po małej ilości fragmentarycznych prób, assekurovani tylko pasem ratunkowym w postaci suflera, który stoi gdzieś w kulisie. Kurtyna spada na czas, dekoracje nie walą się, antrakty są krótkie, z ubogich reflektorów Kielanowski przy pomocy „Felusia” Stawińskiego umie wydoić maximum światła i efektu, co zaś najważniejsze — umie sprawić że przedstawienie ani trochę nie pachnie prowincją.

Lecz to wszystko dotyczy wyłącznie sprawności technicznej i organizacyjnej. Idźmy dalej. Kielanowski nie szuka łatwizny ale porywa się na autorów takich, jak Wyspiański, Nowakowski albo Mickiewicz. Piętrzy sobie samemu trudności, ryzykuje, przebijając głową mur i... zwycięża. Osiąga rezultaty artystyczne za pomocą gier hazardowych. Np. grybobranie w „Panu Tadeuszu”, to krótki, ładny balet! (Grybobranie i polonez są dziełem p. Cieplińskiego). Dekoracje syntetyczne — p. Zelenka — każą wierzyć w istnienie współcześnie na tym samym miejscu dworu Sędziego, zamku, lasu, ogrodu i t.d. Jesteśmy w kręgu magii. Poezja czysta, wyborowa uderza nam do głowy. Niektóre momenty „Pana Tadeusza”, to jakby „scènes aux mouchoirs”. Po prostu ludzie beczeli. A wszyscy byliśmy w teatrze, najprawdziwszym, w dobrym, polskim teatrze.

Telimena p. Modzelewskiej była uroczą groteską, bardzo artystyczną i bardzo konsekwentną w lekkiej przesadzie. Ileż wdzięku, ile umizgów, ile kokieterii! Ile oklasków na każde zejście! Zapachniało nam Warszawą i uchyło nam lat. Po spektaklu pójdziemy do Simona i Steckiego? A może pod Bachusa? Albo do „Euro-py”? Przecież ona jest tą samą, absolutnie tą samą „Marysią”, którą oklaskiwaliśmy jeszcze wczoraj u Szyfmana! Telimena, to lafiynda, kręt-baba, intrygantka, kłamczucha, a jakże pełna wdzięku, gdy łasi się do byczka-Tadeusza, do pajaca-Hrabiego, cała utkana z żartu, z uśmiechu, rozkoszna „précieuse ridicule” z początków XIX w. Wampir empirio-wy, wystylizowany w każdym geście, minie, uśmiechu. Marysiu, nie wracaj do Ameryki! Tam, mimo wszystko, nie ma teatru polskiego, tu, mimo wszystko, jest polski teatr. Zostań! Koniecznie zostań! Wszyscy prosimy.

Panna Katelbachówna zastąpiła mnie w pewnej mierze. Miałem „okra-sić” przedstawienie słowem wstępnym, ale nic z tego nie wyszło, podczas gdy Zosia w wykonaniu p. Katelbachówny okraślała spektakl młodocia, urodą stukaratową, niewinnością jakby nie z tego świata. Nie gęś ale śliczna, puchowe gąsienka, właściwie łabędź. Niby niesmiała, nieporadna, ale jakże zalotna, jak przymilna!

Czas mi już, jak Jankielowi, biec „z drążkami do bassów”, więc do pp. Rewkowskiego i Wojteckiego, których wymieniam w porządku alfabetycznym, choć obu stawiam „aequo loco”. Spisali się wybornie. Rewkowski (Gerwazy) myślał mi kazać o świetnym tragiku Sosnowskim, Wojtecki (Hrabia) — o Osterwie. Resztę poloneza trzeba by przepisać z afisza i uzupełnić każde nazwisko pochwałami.

Łondyn wystawił „Pana Tadeusza”, Warszawa równocześnie wystawiła „Dziady”. Któryś z recenzentów wspominał Konradowi z „Dziadów” „przewinienia klasowe”. Cóż za bzdura! My, patrząc na korowód szlach-ciurow, nie myśleliśmy w kategoriach Marksa, ale w kategoriach Mickiewicza, za co należy się wdzięcznie wszystkim wykonawcom a głównie Kielanowskiemu.

Powtarzam: musimy pomyśleć o nagrodzie dla tego maniaka!

Zygmunt Nowakowski.